№ 28. 10. Lipca 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysloucha.

Zapomniany odłam.

W krajach korony św. Szczepana, ma Polska klejnot droższy od tej „perły Tatr“, którą nam dzisiaj zachłanność cudzego niesyta zagarnąć usiłuje.

Tym klejnotem to zakarpacka kraina, gdzie znaczny odłam polskiego ludu na swoje siedziby.

Zapomniany to odłam, a zapomniany tak dalece, że nawet etnograficzne o nim wiadomości zawdzięczamy obcym badaczom.

Czeski to uczony Szembera podał dosyć dokładny opis siedzib i w przybliżeniu określił liczebność ludności polskiej na Węgrzech, którą nawet nasi podróżnicy, zwiedzający tamte strony, utożsamiali z sąsiednimi Słowakami. Każdy wprawdzie z pierwszego lepszego podręcznika historji wiedział, że ziemia spiska należała dawniej faktycznie, a do końca niemal XVIII. wieku tytularnie do Rzeczypospolitej, ale kto tam mieszka obecnie — nikogo to nie obchodzi.

Praca Szembery jest niemal jedynem źródłem wiadomości o osadach zakarpackich. Polacy na Węgrzech etnograficznie należą, zdaje się, do Podhalan, tj. górali tatrzańskich, z wyjątkiem może jednego odłamu grupy osad wzdłuż granicy szląskiej. Mieszkają oni przeważnie w trzech komitatach, czyli po słowacku stolicach: Spiskiej, Orawskiej i Trenczyńskiej. W komitacie, inaczej żupaństwie Spiskiem, na Spiżu, jak dawniej mówiono, osady polskie stanowią trzy grupy, które przedziela nieliczna tu zresztą (10,000) ludność ruska. Z ogólnej liczby mieszkańców komitatu — 183,000 głów przypada, albo raczej przypadało na ludność polską w 1877—78 r. 30,000. Spiż jest krajem z natury biednym, ale przemysłowym; ludność polska jest prawie wyłącznie górską. Lubownia jest jedynem miastem na Spiżu, w którem przechowała się mowa polska, wszystkie inne miasta są przeważnie niemieckie. Połowę ludności Spiżu (90.000) stanowią Słowacy a $^{3}/_{4}$ (45.000) — Niemcy; Madziarów prawie tam nie ma.

W komitacie Orawskim ludność polska, zamieszkała przeważnie w parowach Beskidów i Tatr, jest bardzo ubogą. Podobnie jak górale tatrzańscy, współplemieńcy ich z Orawy i Magurczanie ze Spiżu całemi gromadami chodzą na roboty letnie do Węgier. Bydło i owce stanowią cały niemal ich majątek. W 16 parafjach katolickich liczą około 30,000 ludności polskiej, obok 60,000 słowaków.

Wreszcie w komitacie Trenczyńskim, mianowicie w okręgach Bytczańskim, a zwłaszcza Czadczańskim, od granicy morawskiej, wzdłuż granicy szląskiej, aż po rzekę Kysycę na południu, ciągną się osady polskie. Liczba Polaków w tem żupaństwie dochodziła, według Szembery, do 24,000. Lepsze warunki naturalne i sąsiedztwo Szląska sprawiają, że osadnicy polscy są tu zamożniejsi i bardziej oświeceni, aniżeli na Spiżu i w Orawie.

Oprócz trzech głównych ognisk są jeszcze osady polskie w komitacie Liptowskim, liczące według Szembery, około 7.000 ludności.

Zestawienie powyższych cyfr daje nam z górą 90,000 polaków na Węgrzech. Tak było przed 15 laty; licząc bardzo mały przyrost, można rachować obecnie przynajmniej 100.000. Dodać zaś trzeba, że rachunek pierwotny robił uczony czeski, który jeżeli miał jaką wątpliwość, to rozstrzygał ją na korzyść Słowaków. Zresztą dokładniejsze badanie wykryłoby zapewne nowe, nieznane jeszcze osady.

Pewna część tej ludności wyznaje religję protestancką, przeważna jednak większość jest katolicką.

Wiadomo jak bezwzględnie, z jakiem można rzec nawet, okrucieństwem Węgrzy madziaryzują ludność słowiańską, zwłaszcza w Słowaczyźnie. Jeżeli dotychczas ta polityka eksterminacyjna nie sprawiła wielkich szkód zakarpackiej ludności polskiej, to dlatego jedynie, że w okolicach, które ona zamieszkuje, żywioł madziarski, jest bardzo słaby liczebnie. Sama bowiem ta ludność chyba tylko w patrjarchalnej, na wpół dzikiej prostocie swych obyczajów posiada jaką taką siłę odporną. Nie ma bowiem szkół swoich i ani pisma, ani książki tu nie dochodzą. O inteligencji jakiejkolwiek mowy nie ma. W komitacie Spiskim ludności polskiej grozi germanizacja, okolice te bowiem, zwłaszcza miasta są zupełnie zniemczone.

Jan Kasprowicz.

Z gawęd i opowiadań.

III.

Hanka Olpińska.

(Dokończenie).

Spiritus flat ubi vult.

II.

A że dla świata potrzeba tej rosy,
Że świat ten cierpi prawdziwe tortury,
Czyż to nie widać naokół? W niebiosy
Pnie się jęk krwawy, do słonecznej góry,
Że ludzie z nędzy giną jak pokosy,
Że czem naodziać nie mają swej skóry,
Że mróz nędzarzy w nagie ciało siecze,
Że chleba już nie pomną głodne usta człecze.

* * *

Sama-ć na własne przecież widzi oczy,
Jak trzy miesiące już leży w barłogu
Chora Stawarska, a nikt nie przyskoczy
Z możnych, by stanąć na biedaczki progu
I poratować ją groszem... Tam broczy
W krwi swojej własnej, zlecając się Bogu,
Sąsiad Piątkowiak, na starość, nie biegły
W mularce, spadłszy z muru, rozbił skroń o cegły.

* * *

Tam Wierzbińskiego wygnali z roboty,
Bo tylko młodsi coś w fabryce znaczą —
Poszedł gdzieś żebrać, zostawił sieroty,
Które od zimna i od głodu płaczą... —
Tu zmarł Sydorczyk, a po nim ni złoty
Jeden nie został, złamane rozpaczą
Nie wie kobiecko, za co go pochowa.
A ksiądz nie pokropi za proszące słowa.

* * *

Wieprze — to widzi — mają swe pomyje,
Swoje łupiny i swój groch, koryta
I swoje chlewy... Tylko człowiek żyje
Nieraz bez kromki, bez dachu... Nie pyta
Nikt się nędzarza, gdzie złoży swą szyję,
Na której dźwigał, nim jeszcze zaświta
Do późnej pory, jarzmo, aż się cały
Uginał, jakby miał się złamać w dwa kawały.

* * *

A ona-ć sama! jakież jej się dzieje!?
Takiego losu nie życzy nikomu!
On, co zarobi przepije i przeje
I potem jeszcze sprawia piekło w domu!
Czas już, by świat ten zmienił swe koleje,
Aby się pozbył wszelakiego sromu
I wszelkiej nędzy, aby mogli w gości
Do stołu iść pełnego także ludzie prości.

* * *

I czas ten przyjdzie niedługo, bo wszędy
Pomiędzy ludźmi głucha wieść już schodzi,
A słodka, dźwięczna, jak Boże kolendy,
Ze się tu mocarz przewielki narodzi,
Niby król jaki, który tak w te pędy,
Cały świat zmieni, w wszystko złe ugodzi
Twardą swą dłonią, że złe się rozpryśnie,
A szczęście nad wszystkimi, jak słońce, zawiśnie...

* * *

A ten, co takie wszechwładne ma ręce,
Nie będzie chodził w pozłocistej szacie,
Ale, jak Chrystus, król królów, w stajence
Na świat ten przyjdzie, albo we warsztacie.
Nikt go nie pozna w tej powszedniej męce;
Choć jest kosztowny, jak złoto w dukacie,
Będzie wyglądał niby miedź, a przecie,
Jak z zorzy, tak zeń blask się rozleje po świecie.

* * *

Głowę nad wszystkich będzie miał uczoną,
Ze gdy swe ucho przyłoży do ziemi,
Usłyszy zaraz, co mówi jej łono;
A gdy do góry spojrzy oczy swemi,
Przeniknie zaraz tę górę złoconą,
To wielkie niebo... Nad księgi mądremi
W przeróżnych szkołach całą młodość strawi,
A potem swą mądrością biednych ludzi zbawi.

* * *

Ha! któż to zgadnie — Boże, chroń od pychy! —
Że ona nie jest tą wybraną matką?...
Z drobnej gałązki, z jakiejś płonki lichej
Wszakże wyrasta silny dąb! Ostatkom
Sił nie sfolguje; jak ten chłopski, lichy
Koń, będzie w pługu chodziła, aż rzadką
Z ziarna swojego wychowa roślinę,
Co bujnym spełni kwiatem nadzieje matczyne.

* * *

Ona-ć, co prawda, może nie doczeka,
Aby za sprawą synowskiego dzieła
Wyszła z tej doli, co łamie człowicka...
Ale cóż ona? W biedzie się poczęła,
Więc w biedzie skończyć też może... Daleka
Jest ci od tego, by dla siebie wzięła
Owoc soczysty; niech inni go jedzą,
Gdy ona pod cmentarną gdzieś wypocznie miedzą.

* * *

I nie przestała folgować swym siłom:
Pierwsza na nogach, pędziła o świcie,
Gdzie jaki taki zarobek jej miłą
Wzmacniał nadzieję. Tam gdzieś szła na szycie,
Tam się mocuje z ciężką ziemi bryłą
Na przedmieszczańskich zagonach; tu mycie
Podłóg u „państwa“, tam znów jakieś pranie,
Aż dziw, że na to wszystko jeszcze sił jej stanie!

* * *

Gdy wróci do dom z nóg upadająca,
Kiedy jej potu struga niemal krwawa
Leje się z czoła z trudu i gorąca,
Niejedna z szewcem czeka ją przeprawa:
Pijak dni swoich troską nie zamąca,
A troska żony dla niego zabawa —
Z gniewu się tylko szamoce i pieni,
Gdy nie chce mu na wódkę dać z swojej kieszeni.

* * *

Nieraz też żal ją ogarnia w tej doli,
Że tak na wieki los swój z szewcem skuła;
Nieraz ją serce jak rana zaboli —
A jest na wszystko niby listek czuła —
Prowadzić życie bez serdecznej woli,
Lecz gdy już ciężkie trzewiki obuła,
Trzeba je dźwigać, trzeba wszystko znosić,
A Boga o wytrwanie i cierpliwość prosić.

* * *

Nieraz wspomina czas ten, gdy nad rzeką
We wsi, pod borem, rosła jak sosenka!
W złocistem słonku tak jej lata cieką,
Jak wody w blaskach wiosennego ranka.
Na okolicę słynęła daleką:
„Nie ma dziewczyny jak Wojtkowa Hanka!“
Prawią młokosy i w karczmie jej zdrowie
Niejeden pije duszkiem, jak gdyby po słowie...

* * *

Hej! hej! z tem słowem! Ono innym służy!
Ani pierzyny ni jasnych korali,
Bez tego zgnieść ją jako listek róży,
Lecz nie przed ołtarz!... Hej! i dziś się pali
Do niej niejeden, nawet talar duży,
Gdy na posługi z domu się wydali,
Niejeden z panów i stary i młody,
Pokaże i poszepcze: „Szkoda twej urody!“

* * *

Ale Olpińskiej nie przyjść z pokuszeniem,
Choć sama nieraz skarży się przed sobą
W tajni swej duszy i prawie ze drżeniem,
Że snać nieszczęsną przyszła na świat dobą,
Że widać, złe się spikło z jej imieniem,
Że lepiej ciężką męczyć się chorobą,
Niż takie życie — pierś się kraje w ćwierci,
Gdy o tem człek pomyśli — prowadzić do śmierci.

* * *

Juści że szkoda jej urody, juści!
Ale gdy człowiek związał się obrączką,
Niech sobie nigdy cugli nie popuści,
Niech będzie wiernym, choć jedną bolączką
Stałby tu cały, choćby do czeluści
Miał zejść ognistych... Jak sok kwiatów pączkom,
Tak cnota żonie i matce! Hej! Boże!
Na głowę dziecka hańby sprowadzić nie może.

* * *

W bólu i walce płynie rok za rokiem.
A dziecię rosło, pono-ć nawet w szkole
Bywało między towarzyszy tłokiem
Zawsze na górze, a nigdy na dole.
Rosło pod matki opiekuńczem okiem
I pono-ć żadne nie zeszły kąkole
Na tym zagonie, który matka hojnie
Zlewała swoim potem, a krwawo, a znojnie.

* * *

Ale czas przyszedł, gdzie matczyne dłonie
Nie wystarczyły. Syn o kiju ruszył
We świat, by szukać gdzie w dalekiej stronie
Nowej nauki, którą znaleść tuszył
O własnych siłach... Niestety! utonie,
Kto w sobie głosu bożego nie zgłuszył,
Gdy jego pierwsze podniosą się dźwięki,
A kto do worka niema poco kłaść swej ręki.

* * *

Co się z nim dzieje, matka nie odgadnie...
Aleć zdaleka, niby jako chmura,
Co naraz jasne niebiosa opadnie,
Wieść do jej duszy spłynęła ponura,
Że w synu z nędzy zbudziła się zdradnie
Straszna, zabójcza ojcowska natura,
Co nieraz w całe mści się pokolenia —
Gdzież jest królestwo boże? gdzie są jej marzenia!?...

Jakim sposobem rzeczywisty radca stanu został oćwiczony rózgami

czyli

wewnętrzna gospodarka Taszkienców.

Z „Nowych bajek Szczedryna“ — przeł. tłumacz Kennana.

(Ciąg dalszy.)

Jeszcze wczoraj lojalny kurczył się gdzieś w zakątku, chodził z opuszczoną głową, wybladłą twarzą, gasnącemi oczyma; jeszcze wczoraj zaklinał się na wszystkie świętości, że teraz djabła warte być niegodziwym — i nagle — jaka przemiana! Dzisiaj kwitnie on, jak czerwony mak; chód ma pewny, urzędowy; oczy jego ciskają błyskawice; usta wyrzucają okrzyk zwycięzki. Daremnie staracie się wytłómaczyć sobie, w jaki sposób zostało odniesione zwycięstwo, czujecie tylko, czuć musicie, że zostało ono odniesione i że dzień wczorajszy utonął na zawsze. *Vae victis!* Biada temu, kto w obecnej chwili wpadnie w oko lojalnemu. Zostanie on w okamgnieniu obryzgany od stóp do głowy jadowitą śliną szpiegowskiego oszczerstwa!...

Dla »lojalnego« niezbędnemi są silne społeczne wstrząśnienia, gdyż dają mu sposobność wzrośnięcia w siłę. Pożar jego serce wstrząsa radośnym dreszczem... wylewy, głód — wprawiają go w zachwyt!

W czasach zwykłych, gdy wszystko idzie swoim trybem, gdy wszędy panuje cisza, gdy w społeczeństwie kwitnie nadzieja lepszej przyszłości, »lojalny« więdnieje lub też uważa się za niepotrzebnego, a jego miłość własna cierpi bezprzykładnie. Bije się on wciąż z myślami i szuka sposobu wyjścia z bezbarwnej swej bierności i wszędzie zjawia się nie w porę, wszędzie widzi się zbytecznym... Cisza oddziaływa w sposób nadzwyczaj niszczący na jego fundusze, wyklucza go prawie z areny życia i jako zjawisko obce i niezwyczajne dla niego mimowolnie budzi w nim podejrzenie, napełniając jego serce bojaźnią

i strachem. »Cisza panuje — to znaczy, że coś się tam knuje, a więc jestem stracony“, mówi sobie »lojalny« i niepowodzeniu jego nie ma końca...

Dla należytego przetrawienia przyjętego pokarmu, niezbędnem jest, ażeby całe społeczeństwo upadało pod ciężarem moralnych i fizycznych udręczeń, lub przynajmniej, aby dawały się usłyszeć choć odosobnione jęki...

W braku tego, czuje się on niezadowolonym i dla ulżenia swemu cierpieniu, zaczyna przepowiadać, przepowiadać i podszczuwać.

I otóż jakby w odpowiedzi na jego przepowiednie, nadciągają chmury, w powietrzu daje się czuć duszność, w oddaleniu rozlega się bicie piorunów.

Popatrzcie, jak »lojalny« stopniowo zmartwychwstaje, jakim rumieńcem oblekają się jego blade policzki, w jaką paszczękę przekształcają się spętane dotąd jego usta.

»Mówiłem, przepowiadałem, przewidywałem że tak się stanie«. — Śmieje się ze wszystkiego, złowieszczym, wyuzdanym śmiechem, powołując do życia zdawna drzemiące nienawiści, dając formy i kształty temu, co pogrążone w wirze niepamięci, pomrukiwało nie mając o sobie świadomości i nie mogąc znaleść odpowiedniego dla siebie wyrazu. I następuje nagle chwila jakiegoś piekielnego objawienia. »Nihiliści«, rozlega się zwycięzki okrzyk i wszystko, co się czuje śmiałem, co nie ma chęci kryć się w zakątkach... wszystko to zostaje zapchane do jednej, wspólnej dziury i zbezczeszczone.

Nic też dziwnego, że przy takim składzie rzeczy, człowiek chociażby starał się iść z biegiem chwili bieżącej, zoczy się zawsze już wyprzedzonym.

Tak też było i z nami, członkami »Towarzystwa lękliwych prób lojalności«.

Pomimo naszej śmiałości i gorących chęci odznaczenia się w służbie publicznej — zatapiały nas krzyki na »lojalność«, która wciąż nas wyprzedzała... Koniec końców, staliśmy się tylko katowskiem narzędziem, które zadawało ciosy prawie machinalnie. Trzeba było widzieć, jacy to ludzie powstawali wtedy z grobów! Trzeba było słyszeć, co się wtedy przypominało i z jaką wetowało zemstą!

Jeżeli prowadziliście jaki proces z waszym sąsiadem; jeżeli pożyczyliście pieniędzy i byli o tyle nieostrożni, żeście się upomnieli o ich zwrot; jeśli mieliście nieszczęście dowieść głupcowi, że jest głupcem, podłemu — że podły; jeżeli zamknęliście usta oszczercy; jeżeli wydarliście zdobycz ze szponów drapieżnika, to znaczyło to samo, jakbyście wykopali sobie pod nogami przepaść... Przypominaliście wtedy sobie owe przestępstwa i oczekiwaliście ze strachem... Nie było zakątka, do którego by nie przeniknęła »lojalność«...

Prowincją trzęsła się i wyrzucała z siebie całe legiony dziwotworów oszczerstwa i denuncjacji.

Od Permy do Tauridy,
Od zimnych fińskich skał
Do płomiennej Kolchidy

podążały stada »lojalnych«, ażeby pomścić kipiące w ich sercach urazy.

I rozpraszali się po zaułkach, stawali na rozdrożach krzycząc: »Nihiliści, Komuniści, Socjaliści«. Oskarżano każdego, poczynając od kolegjalnego registratora do rzeczywistego radcy stanu włącznie. Urzędnicy wszystkich rang figurowali na liście podejrzanych. Zestawiano rachunki: wszystko co było godziwem w przeszłości — nie wchodziło w rachubę, za to nikczemność — likwidowała się doraźnie... Widocznem było jak na dłoni, że dla człowieka, usiłującego stać się »lojalnym« nie było takiej kryjówki, gdzieby go nie dopędziła »lojalniejsza« jeszcze »lojalność«.

Wreszcie sami »lojalni« zawikłali się i ogarnął ich strach nie o ogół, lecz o siebie samych i swoje dzieci.

Człowiek silił się odgadnąć nie to, co spaść na niego mogło za przeszłe naruszenie istniejącej politycznej moralności, tu bowiem istniały już jakieś ustalone reguły, o przestąpienie których nie można było uskarżać kogoś dowolnie i czynić go za to odpowiedzialnym. Ten, którego w tym oskarżającym zamęcie spotkało zapomnienie, mógł zaliczać się do szczęśliwców! Ten wszakże, którego otwarcie nie oskarżano, lecz któremu zdaleka tylko wygrażano palcem, powinien był jaknajspieszniej usunąć się ażeby nie drażnić widokiem swoim tryumfującej »lojalności«; ulotnić się, zapaść pod ziemię, zostać zapomnianym — oto jedyna dola, jakiej mógł życzyć sobie człowiek...

Czytelniku! ty, który przebiegając okiem to moje zeznanie, posądzisz mnie może o przesadę, zastanów się nad obrazem, jaki naszkicowało z owej chwili moje pióro, sprawdź go własnemi wspomnieniami i powiedz sumiennie: gdzie znajdują się rzeczywiste, ostateczne granice moralnej rozpusty — we mnie... czy też być może w innem jakiem miejscu.

* * *

Na ten raz było już nad ranem. Przez całą noc nie zmrużyliśmy oczu i zaczynali działać jakoś niestanowczo, wątło. Była to chwila, gdy na ulicach zaczyna się pojawiać jakiś ruch niewyraźny, przygotowawczy: stróże zamiatają ulice, otwierają drzwi w piekarniach, zjeżdżają się wozy z owocami i jarzynami... lecz właściwy tłum, właściwy ruch nie występuje jeszcze na widownię... W takich to chwilach daje się najdotkliwej uczuwać potrzeba ciepłego łóżka... Nawet człowiek pozbawiony wszelkiego schronienia, szuka sobie kącika, w którymby mógł przytulić znękaną głowę... Niepodobieństwem jest, ażeby człowiek w tej porze mógł się czuć śmiałym i rzeźkim; zmuszony on jest podtrzymywać się sztucznie...

Spieszyliśmy.

»On« jednakowoż był już ubranym, otworzył nam drzwi, trzymając w ręku książkę i nie odrywając od niej oczu, szedł przed nami, jak gdyby nasze przybycie nie zdawało mu się niczem niespodziewanem, a nawet nie obchodziło go wcale.

Obojętność przestała nas już zadziwiać. Lecz to nie była obojętność, ale coś takiego, do kreślenia czego nie można było znaleść właściwej nazwy. Dotychczas zauważyliśmy we wszystkich wypadkach, że chociażby ktoś starał się jak najusilniej nie spojrzeć w oczy biedzie i pragnął zgodzić się z nieuniknionem, przykrem położeniem, zgotowanem mu zbiegiem okoliczności, odpierając filozoficznem rozumowaniem nagą rzeczywistość, nigdy wszakże nie jest on w stanie dopiąć w zupełności zamierzonego celu i w każdym jego ruchu przebija się odcień goryczy lub zakłopotania. Nie protestuje, nie narzeka, lecz wykrzyk: »Jacyż to nędzni i nikczemni ludzie!« przebija się we wszystkich jego ruchach, w głosie, w spojrzeniu, we wszystkiem...

Czytelnik nie zechce może uwierzyć, iż ocena ta, aczkolwiek obrażająca, jest poniekąd znośną. Czuje się, że ten frazes wychodzi z ust człowieka jeszcze nie zupełnie zakamieniałego, że on cię niezupełnie jeszcze lekceważy, że w nim znajdują się jeszcze jakieś miejsca bolesne, podobnie jak w każdym innym — jednem słowem, że to jest słaby śmiertelnik, któremu można wyrządzić jakąś przykrość, który ma jeszcze cokolwiek z tobą wspólnego.

Myślcie jak chcecie, jednakże takie zeznanie działa uspokajająco... Przeciwnie, w tym roztargnionym i zamkniętym w sobie młodzieńcu — nie można było się dopatrzeć niczego podobnego, jakgdyby oddawna już wszystko zrozumiał, rozstrzygnął i zapomniał...

Weszliśmy do gabinetu.

„On“ milcząc siadł sobie przy oknie i zatopił się w czytanie. Naturalnie, że rozjątrzyło to mię do ostateczności.

— Proszę wstać! krzyknąłem na niego.

Wstał i czytał dalej.

— Proszę położyć książkę!

Położył książkę na stół.

— Łajdak! wymówiłem przez zęby, lecz tak, że z pewnością usłyszał ten wyraz; mimo to na twarzy jego nie zadrgał ani jeden muszkuł.

— Czy pan mieszkasz z jaką kobietą?

— Proszę popatrzeć! odparł, jakby odpędzając od siebie coś dokuczliwego, przerywającego mu bieg myśli.

Rozważając to zajście na zimno, wyznać muszę, że przy ówczesnem mojem znużeniu, tylko taka piekielna obojętność była w stanie pokrzepić moje upadające siły. Z całą zaciekłością wyrzucałem książki, przewracałem papiery. On wszakże wciąż stał sobie przy oknie i bez najmniejszego śladu zdziwienia, przyglądał się obrazowi zniszczenia, roztaczającego się chyżo przed jego oczyma.

— Kto pan taki jesteś? fuknąłem na niego. Wymienił swoje nazwisko, nie robiąc mi nawet uwagi, że powinienem sam wiedzieć, do kogo przychodzę. Nie przychodziło mu widocznie na myśl, że można oburzać się, dziwić lub też wyrzekać.

Wydało mi się to do tego stopnia dziwnem i niezwykłem, że mignęła mi przez głowę myśl: czyby nie dobrze było postąpić z nim wspaniałomyślnie.

— Opinja publiczna wskazuje na pana, jako na przyczynę zła — powiedziałem: — odeprzyj pan ten zarzut. Staraj się oczyścić od tak nikczemnego oskarżenia! Mówię to, bo współczuję panu, bo mi go żal. Proszę pana nakoniec, chciej ratować samego siebie i daj mi możność przyjęcia udziału w tym ratunku.

— Chodźmy! wyrzekł w taki sposób, jakby mu dokuczyło do żywego to moje wywnętrzenie się...

Marsz!

* * *

Dalej! dalej!

„On“ widocznie był filozofem i wziął na siebie ciężki obowiązek przekonywania nas.

— Zdaje mi się, łaskawi panowie, mówił — że godzicie w to, w co godzić nie należy i upatrując w oddawaniu się sprawom naukowym coś szkodliwego dla społeczeństwa, robicie mu zarzut, na który ono wcale nie zasługuje!... Czyż ono już w istocie tak jest słabem, ażeby pierwszem i najgłówniejszem zadaniem było zapobiegać oddawaniu się jego sprawom myślenia! Dlaczego panowie utrzymujecie, że dla społeczeństwa konieczną jest ciemnota. Dlaczego, gdy w społeczeństwie występuje na widownię jakiś zamęt, ludzie przodujący mu, którzy na wstępie padają ofiarami waszych podejrzeń, są to właśnie ludzie myśli, ludzie nauki. Przyznajcie sami, że tak dziwnych objawów nie można sobie wytłumaczyć czem innem, jak tylko głęboką pogardą, którą żywicie nietylko względem społeczeństwa, lecz względem siebie samych?...

(Dokończenie nastąpi).

GAŁĄZKA SPIREI.

NOWELA

przez **Marję Jarmund.**

W piękny dzień majowy, w którym cała przyroda do nowego budziła się życia i jaśniała uśmiechem szczęścia, główną aleją miejskiego ogrodu szedł w samo południe, krokiem powolnym, z głową spuszczoną na piersi, nie młody już mężczyzna. Ubranie na nim wytworne świadczące o prawdziwej zamożności, włożone było

ednak z pewną niedbałością i wisiało jakby zbyt obszerne na szczupłej jego postaci. Upał niesłychany, jaki dnia tego panował, był zapewne przyczyną, że choć wsparty o laskę, posuwał się z wielką trudnością, coraz bardziej zwalniając kroku. Na twarzy, o delikatnych choć poważnych i surowych rysach, lekko zmarszczkami pooranej, widoczne było cierpienie. Przebijało się ono zresztą w całej tej wyniosłej, nieco pochylonej postaci, wraz ze znużeniem więcej może moralnem, niż fizycznem. Szedł dziwnie obojętny na wszystko co, go otaczało. Głęboko pogrążony w myślach, nie zwracał uwagi na mijających go śpiesznie przechodniów, ani na wesoły gwar licznie zgromadzonej dziatwy, ani nawet na wdzięk rozwijającej się przyrody.

Wieśniaka, przybywającego z okolicy, leżącej wśród uroczych gór i lasów, cóż mógł obchodzić ten mały światek zieleni, który biednym mieszkańcom naszej stolicy musi przez całe życie wystarczać za jedyne miejsce do zaczerpnięcia świeżego powietrza i wytchnienia po całodziennych trudach. A jednak i tu pomimo tumanów pyłu, wznoszonych powłoczystemi sukniami strojnych dam, i nóżkami rozbawionej, uwijającej się dziatwy, wiosna czar swój roztaczała dokoła. Brakowało wprawdzie uroczego powiewu naszych pól i łąk, kamienie chodników i mury domów, okalających ogród, rozpalone promieniami słonecznemi, ziały ogniem, tłumiącym oddech w piersiach przechodniów, lecz za to trawniki rozesłane gęsto, jak wspaniałe kobierce, nęciły oko miłą zielenią majową, kwiaty ułożone z wdziękiem, olśniewały cudowną grą kolorów, walcząc o lepsze z wszystkimi barwami tęczy, a pod rozłożystemi drzewami, przez których młode listki przeciskały się gorące promienie słońca, wygodne ławeczki zachęcały do spoczynku. Szeroka aleja środkowa, przecinająca ogród, zakończona wodotryskiem pięknym i wiekowemi drzewami tak szczelnie zacieniona, że w niej prawie zmrok panował, prawdziwie była wspaniałą. Grupy krzewów okrytych różnobarwnym kwiatem, jak bzy, czeremchy, spirei, a nawet gdzie niegdzie rozpoczynające już kwitnąć jaśminy, omdlewając od skwaru, napełniały odurzającą wonią cały ogród. Słowik płoszony nieustannie, odzywał się tylko chwilami, jakby lękliwie. Milej tu było o wiele, niż na rozpalonym bruku ulic miejskich.

Nieznajomy jednak nie widział sztucznej piękności, jakie w tym zakątku dla ozdoby miasta nagromadzono i szedł dalej z pewną pogardliwą obojętnością, nie oglądając się wcale. Zatrzymywał się tylko po kilka razy na chwilę, aby obetrzeć chustką spocone czoło i rzucić przelotne spojrzenie w stronę, gdzie się znajdowały ławki. Był zmęczony i pragnął znaleść wolne miejsce, ne którem można by odpocząć. Ale życzenie podobne trudnem było do spełnienia. Matki, nauczycielki i piastunki z dziećmi, otoczone wieńcem z nieżywych kwiatków, rozsiadły się wszędzie tak szeroko, że o pomieszczenie się obok nich i marzyć nie można było. Musiał iść dalej nie troszcząc się o to, z jakiem zajęciem zebrane tu piękne panie spoglądały na niego. Poważna i nakazująca szacunek postać nieznajomego, o twarzy wyrazistej i szlachetnym profilu, była rzeczywiście niezwykłem zjawiskiem, które mogło łatwo obudzić ciekawość nie jednej z córek Ewy.

Z głową pochyloną i wzrokiem spuszczonym ku ziemi, postępował coraz wolniej, w głębokiej pogrążony zadumie.

Nagle przed oczami zamyślonego przechodnia mignął jakiś biały obłoczek, jakby oderwany strzępek z jasnej chmurki, przemykającej po błękicie nieba, musnął go lekko, jak skrzydełko ptaszka, po twarzy, potrącił o rękę jego i spłynął na ziemię. Zatrzymał się zdziwiony i spojrzał. U nóg jego na czystym piasku, którą wysypaną była alea, leżała maleńka gałązka spirei. Schylił się i podniósł biały kwiatek, którego drobniutkie listki, trochę przywiędłe i obwisłe, dziwnie smutnie wyglądały. Pełne litości spojrzenie, jakie rzucił na biedną roślinkę, zdradzało niezwykłego wielbiciela przyrody. Przez chwilę trzymał w ręku kwiatek i przypatrywał mu się uważnie, z wzrastającem coraz bardziej wzruszeniem. Następnie podniósł oczy ku górze, jakby się spodziewał, że tam znajdzie wyjaśnienie tego cudownego zjawiska. Na niebie jednak nie dostrzegł najmniejszej zmiany, a na nieme zapytanie nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Tajemnicza dłoń, która mu ten dar zesłała, do zwykłych śmiertelników musiała należeć.

— Dziwna rzecz — szepnął — że to dziś właśnie, kiedy tak ważne powziąłem postanowienie ten kwiatek spadł mi jak z nieba.

Zwrócił się zatem napowrót ku ziemi, patrząc na wszystkie strony badawczo. O kilka kroków naprzeciw niego stała maleńka, najwyżej ośmioletnia dziewczynka, z bukiecikiem spirei w rączcze i spoglądała ciemnemi oczętami, uśmiechającemi się wesoło i figlarnie. Pomimo żałobnych sukienek, które ją okrywały, poznać było można na pierwszy rzut oka, żeto dziecko rozpieszczone, i do zamożnej należy rodziny.

A zatem tajemnica została odkrytą. Ona to bowiem widocznie była sprawczynią cudownego zjawiska. Zkąd jednak dziecku przyszła myśl i odwaga zażartować sobie w ten sposób z nieznajomego? Jak ośmieliła się zaczepić niemłodego człowieka, którego powierzchowność poważna powinna była w dziecku obudzić obawę? Jak śmiała zwłaszcza, wesoło i zuchwale patrzyć w te surowe oczy, pod których spojrzeniem nie jedne już piękne oczy kobiece spuszczały się zakłopotane ku ziemi?

Nieznajomy, zadając sobie te pytania, surowym wzrokiem mierzył małą figlarkę. Niezwykłe usposobienie, w jakiem się dziś znajdował, kazało mu w najprostszem zdarzeniu szukać przyczyn nadnaturalnych i tajemniczych.

Po chwili wyraz jego złagodniał, a usta zadrgały lekkiem wzruszeniem. Ciemne bowiem oczka dziewczynki i śniada twarzyczka, dziwnie miła i słodka, choć zresztą wcale nieodznaczająca się pięknością, obudziła w nim dawne wspomnienie innej twarzy równie słodkiej i łagodnej, a tak łudząco do tej dzieciny podobnej. Dlaczego dziś wszędzie spotykam się z tem wspomnieniem? Dlaczego ono narzucało mu się na każdym kroku? Ten kwiatek biały, to jej kwiat ulubiony... A to dziecko?.....

— Gdyby miała siostrę, albo gdyby mogła mieć córkę — pomyślał, oczów od dziewczynki nieodrywając, takie podobieństwo byłoby wyjaśnione, ale brak...

— *Marie est-ce joli pour une petite fille bien elevée, ce que vous faites là?* — odezwał się nagle z boku głos dźwięczny i młoda osoba siedząca przed chwilą na ławce, zbliżyła się spiesznie, dodając. *C'est impoli d'inquiéter les passants. Comme papa serait faché s'il le savait. Demandez donc pardon à monsieur.* Dziewczynka patrząca dotychczas z całą swobodą na nieznajomego, przy ostatniej uwadze opiekunki zaniepokoiła się i zakłopotana spuściła oczki, szepcząc po cichu:

— Przepraszam pana.

— *Ne grondez pas votre petite élève, mademoiselle, nous sommes en très bon accord* — wymówił nieznajomy czystym paryskim akcentem, zwracając się trochę ku nauczycielce, choć z maleńkiej ani na chwilę nie spuszczał oka.

Dziewczynka na tak niespodziewaną obronę, podniosła znów oczki i spojrzała z pewną wdzięcznością, a na usta powrócił ponownie wesołofiglarny uśmiech, mile rozjaśniający twarzyczkę dziecka.

— Czy mogę wziąść sobie ten kwiatek? — zapytał wreszcie dziewczynki niemłody mężczyzna, wskazując na gałązkę spirei, którą trzymał jeszcze w ręku. Zdawało się, iż do tego kwiateczka, który w tak dziwny sposób mu się dostał, przywiązuje jakieś zabobonne znaczenie, i że z przykrością by się z nim rozstał.

Maleńka skinęła główką, przystając na prośbę bardzo chętnie.

— Może pan chce więcej? — dodała wyciągając spiesznie rączkę z całym bukiecikiem.

— Nie, nie — odrzekł nieznajomy z uśmiechem — ta gałązka wystarczy. A teraz proszę o rączkę na dowód żeśmy w zgodzie.

Dziecko bez wahania położyło swoją wypieszczoną rączkę na wyciągniętej dłoni nieznajomego.

Zamierzał on właśnie skorzystać z zaufania dziewczynki i nakłonić do wyznania, skąd jej przyszła myśl zaczepienia obcego w ten sposób, kiedy ów zamiar doznał niespodziewanej przeszkody.

— *Voilà papa qui arrive* — odezwała się nagle nauczycielka.

Dziewczynka nagłym ruchem wyswobodziła rączkę i nie spójrzawszy nawet na nowego znajomego, lotem strzały pomknęła w stronę, z której ukazał się ojciec. Zbliżający się młody człowiek, o twarzy sympatycznej, lekkim cieniem smutku powleczonej, okryty był równie jak córka grubą żałobą. W jednej chwili dziecko znalazło się przy nim, zarzucając mu obie rączki na szyję. On zaś podniósł ją do góry i gorąco przyciskał do serca, jakby skarb odnaleziony, o którego utratę się obawiał.

Nieznajomy stał czas jakiś nie ruszając się z miejsca i przypatrywał z daleka pięknej grupie z tą ciekawością zazdrosną, z jaką ludzie bezdzietni, lub samotnie żyjący, spoglądają na rodziców, tulących swe dzieci do piersi. Po chwili jednak widząc, że nikt na niego nie zwraca uwagi i że zupełnie został zapomnianym, uchylił grzecznie kapelusza przed nauczycielką i zboczył w inną stronę ogrodu. Leciutkie, zaledwie dostrzeżone westchnienie, którego sam może nie zauważył, wyrwało mu się z piersi.

— Co za urocze dziecko! A tak do niej podobna... ale dlaczego w żałobie?... Czy to nie jest złą dla mnie przepowiednią... — szepnął — Cóż to, robię się na starość przesądnym, kiedy całe życie nie lękałem się niczego. Co to znaczy rozstrój nerwowy — ruszył ramionami, oglądając się raz jeszcze po za siebie, w nadziei, że choć zdaleka zobaczy maleńką, która na nim tak dziwne, niemal wstrząsające sprawiła wrażenie.

Ale już wszystko znikło, jak widzenie. Gdyby nie kwiatek, który mu został w ręku, mógłby myśleć, że stał się igraszką rozbujałej wyobraźni.

Uczuł się nagle zupełnie samotnym i opuszczonym, na tym wielkim szerokim świecie, bez żadnej duszy życzliwej w około... Sam był wprawdzie temu winien, ale czy nie można tego naprawić?..... Czy nie zapóźno...

Spojrzał na gałązkę spirei, tak uważnie, jakby chciał jej o to zapytać. Cienie zielonych drzew i migoczące wśród nich złote promyki słońca, przesuwały się po niej kolejno. Wydało mu się, że kwiatek się ożywił, teraz listki zwiędłe smutniej jeszcze pochylały się ku ziemi. c. d. n

Z ruchu literackiego.

M. Szczedrin. Nowe Bajki dla dzieci dorosłych. Przełożył z rosyjskiego tłómacz „Syberji" Kennana.

„Słynny satyryk rosyjski M. Szczedrin (Michał Sadtyków), łącząc w sobie wysoki talent literacki z przymiotami wolnomyślnego człowieka i obywatela kraju, po ostatnie dni swego życia był nieprzejednanym wrogiem carskich rządów. Ani wysokie stanowisko jego urzędowe, ani ranga rzeczywistego radcy stanu, nie były w stanie stłumić w nim głosu sumienia obywatelskiego i przemienić

go w ślepe narzędzie despotyzmu carskiego.“ Tak przedstawia tłumacz „Syberji“ Kennana polskim czytelnikom wysoce oryginalną, na wskróś uczciwą i zaiste tragiczną — pomimo pozornego śmiechu, postać znakomitego rosyjskiego satyryka i działacza czwartego lat dziesiątka bieżącego stulecia. Od chwili kiedy go Mikołaj wysłał do Wiatki za pierwszą powieść, do śmierci swojej, kiedy go ostatecznie złamało prześladowanie Mikołajewskiego wnuka i zawieszenie *Otieczestwiennych Zapisek*, najlepszego z rosyjskich czasopism, redagowanego nasamprzód przez poetę Niekrasowa, a potem przez niego, Sołtyków nie przestał ani na chwilę służyć sprawie wolności, sprawiedliwości i piętnować w szeregu zjadliwych i niezrównanych w swojej oryginalności satyr, wszystkich okropności caryzmu, wszystkich wad rosyjskiego społeczeństwa. Czy to wskazywał nadużycia administracji w swoich „szkicach gubernjalnych“, czy kreślił dzieje caratu od Piotra w „Historji pewnego miasta“ czy biczował stronników chłopskiej niewoli, *Krjepostnikow*, fałszywych liberałów, panslawistowskich szowinistów, nawet rzekomych radykałów, czy dawał nam portrety Katarzyny, Mikołaja, Wałujewa czy Skobelewa i Loris-Mielikowa, czy nareszcie Pobiedonoscewa i Aleksandra III-go, wszędzie był prawdziwym, choć na pozór przesadnym, zawsze bronił ciemiężonych, nie zważając na niepopularność, na prześladowania rządu, na oszczerstwa i na pogardę „porządnych“ ludzi dla Szczedrinowskiego „błaznowania“. A był przecież w 1860 roku w łasce — mógł, jak tylu innych moskiewskich liberałów, jak Milutinowie, Czerkascy, Hromeki, katować Polskę, jako gubernator „oswobadzać“ chłopów od szlachty, dobić się orderów i rubli, lecz nie dał się skusić i wytrwał do końca. Puszkin zdradził sprawę wolności, Niekrasów nieraz się zachwiał — Szczedrin zstąpił bez skazy do grobu. Może się zaiste rosyjskie społeczeństwo poszczycić takim pisarzem!

„Nowe bajki“, z których cztery obejmuje omawiana serja, a mianowicie: O r z e ł - m e c e n a s e m , Toptygin I., (czytaj Mikołaj I.), Toptygin II. (Aleksander II), Toptygin III. (Aleksander III), piątą zaś z kolei drukuje obecnie nasz „Tydzień“ — „Nowe bajki“ — powtarzamy — należą do ostatnich utworów satyryka i posiadają wszystkie zalety znakomitego jego pióra. Wydane zostały za granicą, gdyż nie przeszły przez moskiewską cenzurę, sam zaś autor cudem się wykręcił od Syberji. Dzięki formie apologicznej nie można mu było zarzucić jawnego buntu, ale za to czytelnik, nie zupełnie obeznany z dziejami teraźniejszej Rosji, nie zawsze może zrozumieć całą zjadliwość jego docinków. Jednak pomimo ostrożności Szczedrina, znakomicie się w jego Bajkach przedstawia cała zawziętość i głupota rządowego systematu teraźniejszego, cała ohyda teraźniejszej reakcji. Należy się przeto szanownemu tłómaczowi „Syberji“ najgorętsze uznanie za tę nową próbkę oznajomienia nas z rosyjskimi stosunkami, których wcale prawie nie znamy a powinniśmy badać jak najstaranniej dla własnej korzyści, dla tem skuteczniejszego prowadzenia nieustającej walki. Spodziewając się, że po serji pierwszej „Bajek“, nastąpią niebawem dalsze, zalecamy je jak najgoręcej szerokim kołom czytelników.

Deklamacje. Zbiór poezji dla uczenic zakładów wychowawczych. Lwów. Nakładem księgarni Jakubowskiego i Zadurowicza. 1893.

Literatura nasza poetyczna, bogata w perły czystej wody i przepięknego blasku, posiada też liczne zbiory utworów wierszowanych pióra celniejszych poetów, że wymienimy w tem miejscu: A n t o l o g j ę układu Wł. Bełzy, K w i a t y r o d z i n n e , uzbierane przez Żmichowską, kilkutomikową L i r ę warszawską, L u t n i ę , Z ł o t ą p r z ę d z ę itd. Wszystkie te wydawnictwa jednak mają na celu dostarczenie wykwintnej strawy umysłom ludzi dojrzałych, o wyrobionym już smaku estetycznym, o rozbudzonej myśli krytycznej. Dorastające zaś pokolenie nie posiadało dotąd odpowiedniego do swych wymagań i potrzeb wydawnictwa tego typu; szczerze przyklasnąć przeto należy tym, którzy brak ten w piśmiennictwie dla młodocianego wieku uzupełnić postanowili, wydając D e k l a m a c y e , ułożone i zebrane w spory tom o 299 stronicach przez p. Wiktorją Niedziałkowską, przełożoną znanego zakładu wychowawczo-naukowego dla dziewcząt.

Na treść tego sympatycznego wydawnictwa składa się koło dwustu krótszych i dłuższych utworów wybitniejszych autorów i autorek. W przedmowie, którą poprzedziła zebrane przez siebie poezje, p. Niedziałkowska wyjaśnia z pedagogicznego i dydaktycznego punktu widzenia znaczenie nauki deklamacji w domowem i szkolnem wychowaniu i zamyka ją następującemi słowy o celu, zadaniach i układzie książki: ...„Zebrałam w jedną wiązankę wiersze, które w ciągu lat 17 istnienia mego pensjonatu tak chętnie deklamowane były przez uczenice moje, a zrobiłam to w tem przekonaniu, że zbiorkiem tym, dostępnym ceną, a obejmującym obfity wybór wyjątków z różnych autorów, wyświadczę nauczycielkom i uczennicom przysługę. W zbiorku tym opuściłam oczywiście wszystkie te utwory lub ustępy z utworów większych, które się znajdują w szkolnych książkach do czytania lub w innych zbiorkach powszechnie znanych i każdemu łatwo dostępnych. Całość podzieliłam na trzy części, przeznaczając część I. dla klasy III. i IV., część II. dla klasy V. i VI., a część III. dla klasy VII. i VIII. W układzie poszczególnych części nie trzymałam się żadnego systemu i nie grupowałam wierszy ani podług treści ani też nie przestrzegałam pewnego stopniowania, pozostawiając wybór stosownie do okoliczności i potrzeby temu, kto z książeczki tej zechce zrobić użytek“.